

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

20

Goldbaumównie ognie buchnęły nagle do twarzy. Nazwisko nieubłaganego „oberlajnanta“ było jej dobrze znanym. Ow Blumenkranz był jej bliskim krewnym.

— To i jak proszę pana Legy-jonisty idzie się do tego garnizonu? — spytała?

Tadeusz objaśnił go dokładnie i nawet oboje z Rózią podprowadzili go kawalek drogi.

— Tedy to już pójdzie pan prosto...

— Bóg zapłać... Dziękuję i panu i pani.

— Niema za co. Dowidzenia.

Dowgird podał mu rękę, którą żołnierz uściśnął skwapliwie lecz trochę nieśmiało.

Tadeusz i Rózia szli długą chwilę milcząc.

— Wiesz ty — szepnęła wreszcie dziewczyna jakimś zdławionym głosem — że ten porucznik Blumenkranz, o którym on wspominał, to mój krewny?!

Tadek spojrzał na nią zdziwiony.

— To i cóż? Czyś ty temu winna? Miałabyś też jeszcze za wszystkich krewnych, wujków, kuzynów i ciotce odpowiadać!..

Rózia patrzyła przed siebie. Brwi jej zsunęły się, oczy gorzały.

— To się tak mówi... Nic nie winna. A jednak... Ta wina ciężka. Tadek! wiesz, ja myślę, żeby to wszystko zmasać zamało jest kochać Polskę, zamało nawet pracować dla niej... Powinno się umrzeć dla niej!.. A ja? a ja — co robię?!

Nic!.. — z głosu dziewczyny biła moc przekonania, granicząca z egzaltacją.

Prawem kontrastu, prawem reakcji ta istota, wzrosła w środowisku przepojonym ubóstwianiem zysku za wszelką cenę, obojętnym lub nawet niechętnym polskości — wytworzyła sobie świat zupełnie odrębny. Z książek, z rozmów z takimi ludźmi jak Borowiccy, Ożarska, Tadek Dowgird, z własnych rozmyślań zresztą zbudowała sobie własny gmach wierzeń i pragnień. A w tym gmachu panowały wszystkie wygnane z koła jej rodziny ideały. Królowała w nim Polska, taka, jaka Rózia nauczyła się kochać z utworów największych poetów polskich. Ogrzewał go, rozpaliał gorący temperament, właściwy namiętnym naturom wschodnim. Rózia nie była naturą stworzoną do połowiczności, do kompromisów a zmuszona żyć w ustawicznym kłamstwie — cierpiała bardzo i zaczynała się w sobie.

Goldbaum, który nieraz z pobłażliwym uśmiechem mówił, że jego córka ma „małe zajaczki“ w głowie, nie przypuszczał nawet przez chwilę, żeby niebezpieczeństwo mogło być aż tak groźne, żeby jego dziecko mogło odejść od niego duchem tak daleko.

Tadek ujął rękę dziewczyny w swoje obie krzepkie dłonie, ogarnął ją w długim, mocnym uścisku.

Znał dobrze Rózię, że nie należy do tych kobiet, u których cały zapal wyładowuje się w słowach, we wzniosłych frazesach. Wiedział, że nie należy netylko do gadałiwych, ale nawet zdradza skłonność do małomówności, że raczej powie zamało niż zawiele. Musiało nią więc coś do głębi zatargać, jeżeli uczucia swoje ujmowała w słowa, tchnące tak namiętnym wzburzeniem. Poraz pierwszy dopiero może zrozumiał w całej pełni codzienną, cichą tragedię jej życia, przekleństwo rodu Ahaswera. On, który walczył takich, takich rozterek nie zaznał nigdy... Śmiało i prosto snuł dalej nie swą tradycję rodzinnej i narodowej, conajwyżej nowe wpłatając w nią barwy. Jeżeli zaś różnił się niekiedy ideowo z matką — to tylko w szczegółach. Jedynie co do dróg — nigdy co do celów.

A ona... z jakiegoż trzesawiska musiała ratować swoją duszę uczciwej, szlachetnej kobiety i gorąco kraj kochającej Polki. Ona... córka lichwiarza Goldbauma.

Wezbrało mu serce ogromnym współczuciem, tkliwością bez granic. Zdało mu się, że nigdy jeszcze Rózia nie była mu bliższą i droższą niż w tej chwili.

O! gdyby mógł już teraz od razu wyrwać ją z tego otoczenia, w którym jej tak źle i obco. Już usta otwierał, aby powiedzieć:

— Dziewczyno moja! Zdecyduj się już raz

na krok stanowczy. Rzuć dom i chodź ze mną drogą, którą sama sobie wybrała.

Ale nie wyrzekł tych słów. Rozsadek i troskliwość o Rózię powstrzymały go. Czyż miał prawo teraz, sam niepewny jutra, popychać ją tak młodą i niedoświadczoną, nieprzygotowaną do samodzielnego życia, aby szła błakać się naoslep wśród zawieruchy wojennej, cierpieć może głód i nędzę.

Żeby to matka zechciała zaopiekować się nią... Ale o tem ani myśleć. Nieugięta jest w swoim uprzedzeniu. Nie chce nawet słuchać o Goldbaumównie.

Bez żadnych więc praktycznych rad i wskazań prosił tylko ciepło, serdecznie:

— Nie dręcz się, dziecino. Nie gorączkuj, nie przesadzaj, nie wmawiaj w siebie, że to ty właśnie masz dźwigać na sobie odpowiedzialność za całe wieki pokolenia. Tyś w sumieniu swoim spokojna. A na czyny czas przyjdzie.

I mówił dalej, że gdy już wojna skończy się, to razem pracować będą i walczyć o lepsze jutro... Razem na zawsze...

Nie mówił „jeśli wrócę“ ale „jak wrócę“, bo i nie chciał jej zasmucać i w tym momencie wierzył niezachwianie, że nie utonie w morzu krwi, że powróci...

— Bez ciebie nie rozumiem życia. Przez te dwa dni tak bardzo tęskniłem za tobą!

— A cóż dopiero ja?... — szepnęła. — Tobie tam u krewnych było pewnie dobrze i przyjemnie...

— Owszem, nawet bardzo przyjemnie — przyznał — i gdyby nie ty, toby mi się ruszać stamtąd nie chciało. Wuj jest jednym z najrozumniejszych ludzi jakich znam i zachował zupełnie młodzieńczą świeżość umysłu. Wujenka dobra, zacna, szczerą kobietą — taką przytem, jak to mówią, „prosto z mostu“. Bajeczne ma swoje własne określenia i przysłowia, a jeszcze lepsze ciastka i konfitury. Objadłem się, opilem rozmaitych dobrych rzeczy, pogadałem z wujem a z kuzyneczką do wspólki starałem się o ile możliwości przewrócić cały dom do góry nogami.

W Rózi to wzmianka o kuzyneczce zbudziła odrazu kobietę zazdrosną o ukochanego.

— Ładna ta twoja kuzynka? — zapytała niby obojętnym tonem — sympatyczna?

— Bardzo ładna i bardzo sympatyczna. Istny hajduczek z czuprynką jasną, która jej spada wiecznie na oczy, z rozdetymi chrapami Jeździ konno, strzela z flobertu. Z braćmi wybierała się na wojnę. Żywa jak iskra, wścibska jak już nie wiem co i strasznie milusia.. Melancholika mogłaby rozruszać.

— A... a ile ma lat?

— Trzydzieści.

Rózia odetchnęła i o mało co nie roześmiała się głośno sama ze siebie.

— Jechałem tam wcale nie w najlepszym usposobieniu, ale wracałem rzeświejszy. Jak im opowiedziałem, co się to dzieje w tych naszych oddziałach, które miały być przecież podwaliną wojska polskiego, to Zocha zacisnęła piastki i zawołała: „Chciałam koniecznie iść na wojnę z Moskalami, ale teraz to naprawdę nie wiem, czy nie poczekać aż będzie druga wojna z Prusakami!“ a wujenka machnęła ręką i po swojemu rąbnęła: „Ja odrazu mówiłam, że taki ten kusy, jak i ten bez ogona, ale to jeszcze nie trzeba rozpaczać, bo z wojną to tak jak z grą w karty... Nigdy nie wiadomo, jak się skończy. Można być na wojnie leśniczym, a po wojnie niczem“...

— Wspaniała kobieta musi być ta twoja wujenka! — wiraciła Rózia, która miała zwyczaj słuchać cierpliwie i rzadka tylko przerywać opowiadającemu jakąś uwagę.

— Skończony typ w swoim rodzaju. Pragnąłbym bardzo, żebyście się poznały... A wuj, wiesz co powiedział? Niby nic prawie, a jednak dużo... Milczał długo zamyślony, potem położył mi rękę na ramieniu, popatrzył głęboko w oczy i rzekł: „No, mój chłopcze, powiesz może, że ze mnie stary romantyk. Ale to nic. Przypomnę ci jeden stary wiersz. Zastanów się nad nim, bo wart tego“. I zacytował:

— Cóż to za wiersz? — zapytała Rózia bardzo zaciekawiona — nie pamiętasz go?

— Owszem, pamiętam. Posłuchaj... Trzeba w nim zmienić jedno tylko słowo, żeby go zastosować zupełnie do obecnej chwili:

„Więc ma zginąć naród wojowników

Nie przyjdą mu na pomoc żadnych ludów

[mieczy?

Wiadomo, co wyrzekł dumny król Anglików, Lecz jeszcze nie wiadomo, co Pan Bóg

[wyrzecze!...

— Cudne słowa — szepnęła dziewczyna — mądre, głębokie i... prorocze. Ja wierzę mocno w to, że są chwile, w których prawdziwi poeci mają jasnowidzenia...

— Tak sądzisz? I mnie jakoś jaśniej na duchu zrobiło się. I ja wierzę, że to, co nie zginęło powstanie z naszej krwi. Ale przyznam ci się, bo coś będę ukrywał przed tobą, że przychodzą na mnie chwile strasznego zwątpienia. Wróg ze Wschodu i wróg z Zachodu... Moskale i Krzyżak. A my cóż mamy przeciw nim? Gole ręce!... rozterki wewnętrzne, infrygi panów „wielkich“ polityków i przeróżne orientacje! Czasem przyszłość nasza, przyszłość całej Polski wydaje mi się tak, jak to niebo nad nami — wskazał ręką na zaciągnięte czarnymi chmurami bezgwiazdne, bezksiężycowe grudniowe niebo — równie ciemna, posępna, nieprzenikniona...

— Patrz, Tadeu — powiedziała cicho dziewczyna — to niebo nie jest tak ciemne i posępne jak ci się zdaje. Widzisz tam nad kościołem pokazała się gwiazda...

Rzeczywiście przez czarną, ponurą oponę chmur przebiła się jedna... samotna gwiazda. Błyszczała na ciemnym firmamencie jak to światło radosne, upragnione, które wędrownikom w noc burzliwą wskazuje drogę do ciepłego, zaciśnionego schronienia.

Zegary miejskie wybiły godzinę jedynastą. Na wieży kościelnej ozwał się hejnał. Rozsypał się perłami tonów, w nocnym powietrzu zawisł nad sennym miastem opiekuńczym skrzydłem, rozspiewał się nutą starą znaną a rzeźwą, zadzwonił hymnem krótkim, radosnym, rozpachniał tę posępna noc zimową kwieciami wiecznej żywej, kołysał niby do snów a jednak budził, marzył coś i przypominał.

Rózia uprzedziła w domu, że pójdzie do teatru z Wandą Borowicką, więc gdy wróciła wszyscy spali już. Nikt jej nie oczekiwał, nikt się nie niepokoił. Cichutko, na palcach przesunęła się obok sypialni rodzicielskiej i skierowała się do swego pokoju przez pokoić, w którym sypiał Poldek. Chłopak leżał w łóżku i czytał książkę. Tak był zajęty, że nawet nie zwrócił uwagi na wejście siostry.

Oczy mu błyszczały, policzki i duże odstające uszy były rozognione.

— Nie spis, Poldziu, jeszcze? — rzekła Rózia. — Znowu będzie jutro awantura o to... Co czytasz? Sienkiewicza?

Poldek odmruknął coś niewyraźnie i przewrócił kartkę. Siostra podeszła bliżej i przeczytała tytuł. Przekonała się, że książka pochłaniana przez brata z takim widocznym zapalem, jest sensacyjną, kryminalną powieścią, łomaczoną z niemieckiego. Tytułowa rycina przedstawiała dwóch zamaskowanych ludzi, otwierających przy świetle latarki kasę żelazną...

— Po co ty czytasz takie głupstwa? — szarpnęła chłopca lekko za ramię — to są przecież brednie i szkodliwe nawet...

— Daj mi spokój! to bardzo zajmujące... — odburknął gimnazjalista — właśnie mają okradać bank... a policja jest już na ich tropie...

— Rzuć to — rzekła prosiącym tonem — dam ci inną książkę bardzo ciekawą.

Poldek oderwał na chwilę wzrok od kart kryminalnego powieściadła.

— A jaką?

— Kaczkowskiego: „Olbrachtwi rycerze“. Chłopiec namyślał się przez chwilę, potem machnął ręką.

— O! to także ciekawe... Muszę skończyć. A z tych książek o polskich rycerzach to się ojciec tylko wyśmiewa... Powiada, że ja i tak nigdy żadnym rycerzem nie będę, bo ja jestem przecież Goldbaum...

W głosie Poldka zadźwięczała jakaś nuta rozdrażnienia. Nie rzekł już nic więcej i znowu zagłębił się w czytaniu.

Rózia westchnęła cicho i odeszła. Z goryczą pomyślała, że i tutaj jest bezsilna... Nie posiada dość wpływu i mocy przekonywującej, aby zapalną, bujną wyobraźnię brata skierować na drogę właściwą. Autorytet ojca jest jednak silniejszym i chłopiec bezwiednie mu ulega.

(Ciąg dalszy nastąpi).